

J. BRAUN.

„DEMON FILMU“

25

— Poruczniku!

— Co słyszeć, Tom?

— Gotów. Armatka stoi tak ślicznie i dyskretnie, jak wstydliva panienka. Sam djabeł jej nie zobaczy.

Porucznik z lubością i uszanowaniem poglądził jej łufę. Stary, szczwany lis Tom siedział na ławeczce i palił fajkę, rozdziawiając gębę w szerokim uśmiechu.

— Dobrze, co? — cieszył się. — Tu są naboje. Wszystkie działa są zamaskowane równie pięknie.

— Najwyższy czas.

— Kiedyż to będzie?

— Pewnie dziś, a raczej już teraz w nocy.

— Hihhi! Będziem kropić.

— Trzymaj się Tom...

— Hoho, poruczniku...

Harry poszedł dalej, kontrolując sumienne stanowiska wszystkich ośmiu dział i gotowość bojową okrętu.

„Bajadera“ stężała w pocisk żelaza, wyostrzyła pazury i jak lwica sprężyła się do walki, przemieniając się, jak za dotknięciem miecza krwawego Marsa z eleganckiego jachtu w ponurą, wojenną fregatę.

Przed Harrym wyrósł, jak z pod ziemi, drugi oficer okrętu.

— Co tam? — zapytał.

— Nic, robię przegląd „frontu wojennego“.

— Gdzie kapitan?

— U siebie... Aha, byłbym zapomniał. Czy łodzie wywiadowcze wysłane?

— Tak. Węszą pilnie naokoło, jak wyżyły...

Posłyszeli szmer u burtu. Podeszli do bakbortu. Na dole kołysała się łódź strażnicza.

— Hallo! — Co nowego?

— Poruczniku... Idą motorówki z żołnierzami...

— Co?

Harry przyłożył do oczu lunetę.

— Nie widzę nic..

— Bo ciemno. Płyną napewno — widzieliśmy.

Porucznicy cofnęli się.

— To wy? — rozległ się stłumiony głos Daxa.

— Tak, kapitanie. Ja i Harry. Motorówki z wojskiem chcą zaatakować statek. Są już niedaleko.

— Tak? Dobrze. Harry z trzydziestu ludźmi wsiądzie do wszystkich łodzi i odpłynie od statku, ale tak, by mieć obstrzał dokładny. John ukryje się z drugą częścią załogi w oddziale maszyn i gdy padną strzały z naszych motorówek uderzy na nieprzyjaciela. Ja idę z Harrym.

Za chwilę rozkaz był wykonany.

Na sześciu motorówkach odpłynęli ludzie Harry'ego o pół mili morskiej od jachtu i czekali na hasło. Reszta przyczajona w oddziale maszyn ścisnęła lufy karabinów, dysząc żądzą walki. Porucznik klęczał przy drzwiach z rewolwerem szybkostrzelnym w ręce.

Na burzliwej, rozkołysanej fali ukazały się nagle smugi piany, wlokące się jak ogony za motorówkami nieprzyjaciół. Łodzie przybiły do burtu, żołnierze wdopywali się na pokład ostrożnie i milczkiem, jak polujące koty. Długim sznurem skradali się po pokładzie i przemykali się schyleni pod okienkami kajut.

Na ich czele szedł Henryk Collins.

Zgłosił się on sam na ochotnika do tej wyprawy, bo cała awantura Daxa interesowała go mocno. Od czasu zwłaszcza, gdy wspólnie z Djaną tropił po mieście owego złowrogiego „Demona“, kochała go ciągle żądza walki z tym śmiałym korsarzem. Gdy dowiedział się, że dziś w nocy ma nastąpić ostateczny atak na jego warownię — nie wytrzymał. Udał się do admirała Boltona, swojego bezpośredniego zwierzchnika i prosił o przydzielenie go do ekspedycji. Admirał zgodził się chętnie.

I tak Henryk stanął na czele oddziału marynarzy, którym kazano iść jakby w awangardzie i próbować nagłego, nocnego napadu na statek.

Henryk dziwił się, że nie spotkał się dotąd oko w oko z wrogiem.

— Co to znaczy? — myślał zaniepokojony. — Ten statek jest, jak wymarli. Czyżby uciekli na łodziach?

Chylikiem posuwali się korytarzami, penetrowali wnętrza jachtu, zaglądali do kajut i zaszli aż na spód, świecąc sobie latarkami. Natrafili na kajutę Riksy.

Henryk otworzył drzwi i wszedł do środka.

Cofnął się olśniony.

Cudnej urody kobieta leżała na matkach w małej, fioletowym światłem zalanej, bogatej komnacie i paliła obojętnie fajkę opium.

Henryk podbiegł ku niej i dotknął jej ramienia.

Nawet nie spojrzała na niego.

— Gdzie jest Dax, dziewczyno? — zapytał.

Ale księżniczka podniosła nań wzrok pełen bezgranicznej pogardy i chłodu, poczem odwróciła się nieco ku ścianie i paliła dalej. W kącie dygotał przerażony mały półnagi chłopiec — „napelnacz fajek“.

Henryk zniecierpliwiony zaklął pod nosem i wyszedł z kajuty — ale nie mógł się powstrzymać od długiego, pełnego zachwyty spojrzenia rzuconego od drzwi pięknej Riksy.

Wrócili na pokład.

— Chłopcy! ten okręt jest pusty, — obejmujemy go więc bez walki w posiadanie Republiki.

— Hurra!!! — zawołali jednogłośnie.

Wtem z małej, skulonej pod masztem na pomoście budki drewnianej lunął na nich oślepiający potok światła.

— Baczność, reflektor! — wrzasnął Henryk.

Marynarze rzucili się na podłogę. Ale już było zapóźno.

— Strzelać! — komenderował Dax.

Błysnęły ognie z motorówek. Salwa gruchnęła morderczo w skupionych na pokładzie kładąc od razu czwartą część napastników. Jednocześnie z oddziału maszyn wypadła zająca jona tam załoga, a ludzie z motorówek wspinali się błyskawicznie na statek.

Zawrzała krótka walka.

Henryk powalony okropnym ciosem kolby w plecy, padł bez przytomności na ziemię, a obok niego padali klucy bezlitośnie jego marynarze, broniący się rozpaczliwie i zjadale. Strzelano im wprost w oczy, osmalając z łuf twarze, bito kolbami karabinów i przebijano straszliwymi ciosami długich, malajskich kordelasów. Dzieci, indyjscy i indochińscy majtkowie Daxa sprawnie i okrutnie załatwili się z awangardą karzącej sprawiedliwości.

Po chwili na pokładzie jachtu leżał już szereg powiązanych, jak barany ludzi, a między nimi biedny Henryk, który pierwszy zmierzył się z wojenną drużyną Daxa, aby tak sromotnie jej ulec.

Gdy ocknął się, głowa i plecy bolały go srodcie. Uniósł nieco głowę. Oślepił go błysk latarki. To Dax z elektryczną latarką w ręce przechodził wzdłuż szeregu powiązanych żołnierzy i nachylił się właśnie nad Henrykiem.

— Panie poruczniku, czy niewygodnie? — śmiał się.

Henryk wściekł i pełen wstydu odwrócił głowę.

Dax oddalił się.

Od burtu dochodził jednostajny plusk kujących w okręt bałwanów i łoskot strącanych z pokładu ciał. Z początku ludzie Daxa zrzucali trupy, rozhuśtawszy je przedtem za ręce i nogi, ale potem znudzeni tą zabawą spychali je poprostu nogami.

Henryk omal nie płakał w głos z pasji...

W godzinę później zagrział przez tubę głos z wojennego okrętu:

— Poddać się!!

A wtedy Dax, opuściwszy kajutę Riksy, gdzie pił krew z namiętnych ust księżniczki i palił jedną po drugiej długie chińskie fajki opium — wyszedł na pokład w paradnym, białym kapitańskim mundurze.

— Dax, otoś się skończył — myśli. — O jednego awanturnika będzie mniej na świecie. Życie to jedno wielkie głupstwo, a śmierć jest mądra i piękna, jak sam stutysięczny Brahma. Uważaj tylko Dax, abys wyreżyserował swój epilog tak, jak na powagę twojego eposu przystało...

Opium rozlało mu się po wszystkich komórkach mózgu i po wszystkich członkach. Był mądry, czujny, spokojny i pełen bohaterskiej odwagi. Żaden lęk nie targał nim bezmyślnie, żadna myśl bezużyteczna i szkarłała nie przemknęła mu przez głowę. Wszystko stało się jakby w aureoli. Świat był inny, ludzie inni i on sam, Dax, główny aktor dramatu był inny.

— Gram w swoim filmie życia. Jestem aktorem. Zagram rzecz swoją sumiennie i dobrze. Legenda musi się pięknie skończyć. Zaczynamy!

Wyszedł na pomost i spojrzał przez lunetę.

Ogromny, najeżony działami kadłub krążownika majaczył w mrokach nocy, chwiejąc się majestatycznie na wzdętej silnym wiatrem zachodnim fali.

— Dobrze. Szanują mnie. Nie chciałbym zginąć od torpedy marnej łodzi. Admirale Bolton, jestem panu niezmiernie zobowiązany...

— Poddać się! Czyście słyszeli? — powtórzył nieprzyjaciel swe wezwanie.

Dax uśmiechnął się wyrozumiale i ujął tubę...

— Milczeć, bo strzelam! — zawołał z ujmującą słodyczą.

Na pokładzie krążownika Wielki Detektyw George Borghe, stalowy terrorysta sprawiedliwości naglił:

— Admirale zaczynamy!

— Oh, nie mister Borghe — zwlekał tamten.

— Poco tracić czas na pogawędkę z opryskiem?

Ale admirał Bolton uśmiechnął się z tą pobłażliwą wyższością, z jaką patrzy stary lew morski na „ładowego szczura“, choćby nim był nawet sam Wielki Detektyw.

— Mister Borghe! Tak nie można. Jestem dżentelmenem... Należy szanować „prawo morza“, do licha!...

I zaczął z Daxem interesującą rozmowę.

— Czy mam przyjemność z panem Daxem, kapitanem korsarskiego statku „Bajadera“?

— Z nim samym.

— Tu mówi admirał Bolton.

— Ach, jakże mi miło!

— Chciałem zapytać, jak zapatruje się pan na najbliższe horoskopy atmosferyczne. Czy będziemy mieli pogodę?

— Nie admirał. Przewiduję deszcz i to ulewny...

— O, to gorzej. Wieczór był tak miły. Ale, ale...

— Cóż takiego?

— Byłbym zapomniał. Małe słóweczko kapitanie!

— Ależ słucham, słucham pilnie...

— Czy nie chciałby pan przypadkiem wywiesić białej flagi?

— Panie admirał, nie chciałbym panu odmawiać, ale doprawdy to wykluczone...

— Ach, jaka szkoda. Będzie więc trzeba posłać panu materiał palny w dokładnym opakowaniu...

— Bardzo proszę. Zapłacę natychmiast...